BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 7.

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

NA WAKACYACH
KATARYNKA

WYDANIE DRUGIE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

Str. ...

884-3
128

10020709

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1914

Gimnazjum im. J. I. Kraszewskiego w Białej.
Księgozbiór: U.
№ 287
Dział: IV
Znak: 142
128

NA WAKACYACH.

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka wiorst od siebie, i widywaliśmy się prawie codzień. Był to przystojny blondyn, którego łagodne oczy mogły rozmarzyć niejedną kobietę. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzał w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

— Wiesz — odezwał się — miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby »głupi wypadek« mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mieliśmy — mówił dalej — zrana, we wsi pożar. Spaliła się chałupa....

— A tyś może skoczył w ogień?... — przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami, i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Say'a, ale na widok kłębów czarnego dymu i płomyków, wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mnie filisterska ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby, lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Floryana zażegnywała pożar, i chłopa, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

— »Oto nasz system budowania!... — pomyślałem. — Dom płonie, jakby go prochem nabito«.

Istotnie, w ciągu kilku minut, cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że, z obawy o żakietę, musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osękami, siekierami i wodą: jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni lali wodę z konewek w taki sposób, że, nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wywrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag, wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była nie do uratowania

Nagle ktoś krzyknął: »Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!«... — »Gdzie?«... — spytano. — »W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego«....

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się, jak rozpalone druty.

Wyznaję, że, gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykły sposób.

»Jeżeli nikt nie idzie — pomyślałem — więc ja pójdę.... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale — jakież piekielne gorąco!«...

— »No, rusz-że się który! — wołały baby. — O wy, psie dusze, nie warciśta nazywać się chłopami!«... — »To leź sama w ogień, kiedyś taka mądra! — ofuknął ktoś z tłumu. — Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe, jak kurczę, i tak już nie żyje«....

»Ładnie! — pomyślałem — nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham! Chociaż — szepnęła mi rozwaga — jakie licho ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?«...

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

»Ale trzeba wkońcu wedrzeć się tam — myślałem — każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się, jak robak«. — Lecz, jeżeli już nie żyje?... — odpowiedziało zastanowienie: — w takim razie szkoda nawet surduta«....

Zdaleka odezwał się straszny krzyk kobiecy: »Ratujcie dziecko!«.... — »Trzymajcie ją!.... — zawołano w odpowiedzi. — Skoczy w ogień i zginie!«....

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten

sam krzyk: »Puszczajcie!... to moje dziecko!... to moje dziecko!«... — »Ciągnij ją wpół!«... — odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tlą włosy i — cofnąłem się rozgniewany: »Co za głupi sentymentalizm! — pomyślałem — dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszydło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!«....

Wtem potrąciła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nieumyte nogi.

»Co ty robisz, waryatko? — krzyknąłem — tam już jest trup, nie dziecko!«... — »Jagna! chodzi tu!«... — zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

»Ja—gna!«... — powtórzył lamentujący głos.

»Zara!... zara!«... — odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w ręku chłopca, który obudziwszy się, wrzeszczał w niebogłosy.

— Więc dziecko żyje? — spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna... czy to jego siostra?

— Gdzież tam! — odparł; — zupełnie obca;

nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic się jej nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu, widziałem ją: skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl: jej dziki zapał i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu.... My już tacy!... — dodał i począł szpicrózgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy, i chłodny wiatr przyniósł od stawu rehotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepcą krzaki:

— Wy już tacy!...

Biblioteka Gimnazjum Męsk. im. ... w Białej Podl.

KATARYNKA.

Na ulicy Miodowej, codzień, około południa, można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasińskich ku ulicy Senatorskiej. Latem, nosił on wykwintne, ciemno-granatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące, jak zwierciadła — i — nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny — dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się zwolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika: jak stoi barometr i termometr? Potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej — i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potrącony, uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegał ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzyć się jej. Ale, że zrobił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to — pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową, i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. To samo ulica Miodowa pomyślećby mogła o nim.

Gdy był jeszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekłaby przed nim żadna szwaczka, wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy, zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał — za kobietami. Co prawda, miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyny, będąc zajęty, jeżeli nie praktyką, to — schadzkami. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józią i Filką zjeść kolacyę.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie, z sześciu pokojów złożone, urządził w niem na własny koszt posadzki, sprawił obicia, piękne meble — i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... nie czekając na oświadczyny mecenasa, wyszła za doktora....

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien nie brakło. Ekwipował się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galeryę sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemię i sięga w tył do białego, jak śnieg, kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tembardziej, że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze, niż zwykle, towarzystwo, jedna z młodych pań, rozejrzawszy się po salonach, zawołała:

— Co za obrazy.... A jakie gładkie posadzki!... Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

— Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie

posadzki — odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

— I, i, i!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił favoryty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe, spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne, były jakby wiorstowymi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się, nie unosił, ale — smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki, nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się najprzód z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galeryi całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

— Wiecie państwo, że to jest wcale ładne.

Należał do tych niewielu, którzy najpierwej poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

— Czekajcie, może się jeszcze wyrobi! — mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występkach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny — zapalał się, jak był cichy — krzyczał, a jak był łagodny — wpadał w gniew, na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłómaczył się:

— Muzyka — mówił wzburzony — stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcyę machiny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie! Zresztą — dodawał — katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny żart — i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie, odkrywszy sprawcę, wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi, o rzecz tak małą napozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacyą płacił podwyżkę,

ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń, pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię?...

— Kazimierz, proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiedział wzruszony stróż.

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek.

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. — Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze — od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasa ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzki, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli.

Całe zaś dni, jeśli nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy, albo przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy

nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu, naprzeciw okna i, zapaliwszy cygaro, zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcyą życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek, dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który, spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz, że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją sługą.

Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie, z małą, może ośmioletnią, dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie,

a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. — Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka za pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko, siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiecik. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała napowrót bukiecik, włożyła go w szklankę wody i, usiadłszy w swojem oknie, rzekła:

— Prawda, mamo, że tu jest smutno....

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzał na drugą stronę podwórza i widać zobaczył

coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na ręku, położyła się prawie na wznak w swojem oknie — i — szeroko otwartemi oczyma patrzała prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal....

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle.

W tej chwili doświadczył kłócia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidomą od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała, jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

— Mamo, czy to jest noc?...

— Nie, moje dziecko.... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała; spać się jej chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

— Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, ze dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

KATARYNKA... BIBLIOTEKA

Ale chora, im bardziej odzyskiwała siły, tem mocniej niepokoiła się swojem kalectwem....

— Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?...

— Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

— Kiedy przejdzie?...

— Niezadługo.

— Może jutro, proszę mamy?

— Za kilka dni, moja dziecino.

— A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłem oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem, sama się ubierała i rozbierała, powoli i ostrożnie.

Ale wzrok nie wracał.

Jednego razu mówiła:

— Prawda, mamo, że ja mam niebieską sukienkę?...

— Nie, dziecko, masz popielatą.

— Mama ją widzi?

— Widzę, moje kochanie.

— Tak, jak i w dzień?

— Tak.

— Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc....

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

— Prawda, mamo, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?.. Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnemi łapami?... Prawda, mamo, że ja widziałam siebie w lustrze?... Niema tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

— Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie — mówiła dziewczynka, przykładając lustro do twarzy. — Nic nie widzę! — rzekła. — Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

— Widzę cię, moja ptaszyno.

— Jakim sposobem?... — zawołała dziewczynka żałośnie. — Przecie, jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic.... A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?..,

Ale matka rozpłakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszem zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku, wysłanem watą.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąciku swoją córkę, już ubraną i bawiącą się lalką.

— Co ty robisz, dziecino? — zawołała. — Dlaczego nie śpisz?...

— Bo już przecie jest dzień, proszę mamy— odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze....

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką, błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym

krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że, zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy — dorożka, a kiedy — kary, wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się, albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. — Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącej.

— Niema Janowej — rzekła kaleka, siedząc, jak zwykle, w kąciku. — Poszła po wodę.

— A skąd wiesz o tem? — zapytała zdziwiona matka.

— Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie z za parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu, i to ją nieco uspokajało. Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej — podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygłuszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działo się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej, niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic; tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień....

Nie dość na tem. Na strychu częściej, niż w pokoju, świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie pogasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła....

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwem nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie

słyszała ptaków, ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny, ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab, śpiewających pieśni pobożne, ani dziada, który grał na klarnecie, ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho....

— Biedne dziecko! — szeptał nieraz pan Tomasz, przypatrując się smutnemu maleństwu.

— Gdybym mógł dla niej co zrobić? — myślał, widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i codzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i, jak zwykle, oddał mu do przejrzenia papiery, z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale, jako doświadczony praktyk, umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcyi i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz, im więcej wczytywał się w papiery, tembardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy

starto kurz w salonach, tylko, zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Wieczorem, stary lokaj mecenasa, przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny, Kazimierz, zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień — do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?...

Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzał.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty, na szafirowem tle pokojowego obicia, przypominały »studya z natury«. Matka ociemniałej i jej wspólniczka, robiąca pończochy na maszynie, podziwiały mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj, od rana do wieczoru, drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a roku 1875 — synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X. był waryatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X. oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nie ulegające wątpliwości świadectwa, że X. i w roku 1872 i w 1875, działał, jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze

w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie: kiedy naprawdę X. był waryatem? a następnie: o pogodzenie trzech powaśnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacyach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samem oknem pana Tomasza, odezwała się — katarynka!...

Gdyby zmarły X. wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomódz mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia, jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! jakby na większą szykanę, katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, niekiedy się w niej odzywająca, ryczała, jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X. jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacyom.

Ale nie, to nie były halucynacye. To była rzeczywista katarynka, z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

Biblioteka im. J. I. Kraszewskiego w Białej.

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył, jak tygrys, do okna i postanowił — zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: »Ty, próżniaku jakiś!«... — gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Blada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy, jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknem zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksyę!

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk, i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

— Boże! jak on ślicznie gwizdał!

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensyę, że my mamy kontrakt.... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj — krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady:

— Słuchaj-no, kochanku.... A jak ci na imię?

— Paweł, jaśnie panie.

— Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! — wtrącił śpiesznie lokaj.

— Nie! — rzekł pan Tomasz. — Za to, ażebyś przez jakiś czas codzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

— Co pan mówi!?... — zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana!... — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

— No, idźcie do roboty — dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło....

Pan Tomasz uśmiechnął się i, jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa, wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniej, co już okrutnie drażniło mecenasa, więc, zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł, mrucząc:

— Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się niem oddawna....

172